Półrocznik Językoznawczy Tertium. Tertium Linguistic Journal 3 (1) (2018)
www.journal.tertium.edu.pl
http://dx.doi.org/10.7592/Tertium2018.3.1.Dybiec

Otwartość w nauce. Dyskusja panelowa

Openness in Scholarship. Round Table Discussion

Joanna Dybiec-Gajer: Szanowni Państwo! Bardzo serdecznie witam po przerwie i z ogromną przyjemnością zapraszam na dyskusję panelową, która poświęcona jest wiodącemu tematowi naszej konferencji, czyli otwartości w nauce. Pozwolę sobie przedstawić naszych panelistów według porządku zasiadania: Pan Profesor Jerzy Bartmiński wprowadzenia nie potrzebuje, był na tej konferencji już wielokrotnie przedstawiany. Jest to legenda polskich badań językoznawczych, twórca szkoły etnolingwistyki. Bardzo cieszymy się, że możemy Pana Profesora gościć także w ramach tej dyskusji. Obok jednej żywej legendy – druga żywa legenda: Pani Profesor Elżbieta Tabakowska – językoznawca zajmująca się metaforą i lingwistyką kognitywną. W następnej kolejności Pani Doktor Małgorzata Majewska z Instytutu Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, która zajmuje się komunikacją werbalną i niewerbalną w mediach, a także komunikacją lekarza z pacjentem. Pan Profesor Maciej Eder, który jest stylometrą i potrafi po mistrzowsku łączyć stare z nowym: zajmuje się m.in. badaniami nad tekstami klasycznymi np. łacińskimi, a także analizuje różne utwory literackie nowoczesnymi metodami kwantytatywnymi. Jest dyrektorem Instytutu Języka Polskiego PAN, pracuje także w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego, jak również współpracuje z Katedrą Dydaktyki Przekładu UP. Pan Doktor Władysław Chłopicki – myślę, że nie trzeba przedstawiać – to dusza Tertium i spiritus movens wielu różnych działań prowadzonych przez to Towarzystwo. W takim składzie chcielibyśmy podyskutować o zagadnieniach otwartości w nauce. Każdy z naszych panelistów będzie się wypowiadał z perspektywy własnej działalności i własnych zainteresowań naukowych. Zostawimy też czas na pytania z sali i już teraz zapraszamy Państwa do udziału w dyskusji. Pozwolę sobie zacząć – trochę za podszeptem Pana Profesora Bartmińskiego – od rzeczy małej, ale istotnej. W swoim referacie Pan Profesor mówił o różnych ważnych pozycjach wydawniczych związanych z etnolingwistyką, natomiast ja chciałabym wspomnieć podręcznik akademicki, ponieważ ten gatunek z definicji wpisuje się w paradygmat otwartości. Mowa o podręczniku pt. *Tekstologia*, autorstwa J. Bartmińskiego i St. Niebrzegowskiej-Bartmińskiej, który wydawnictwo PWN określa jako bestseller i myślę, że ma to jakieś głębsze uzasadnienie. W związku z tym chciałabym zapytać Pana Profesora o tytułową tekstologię: jaki jest jej obiekt

zainteresowań badawczych i jak mieści się ona w naszej dyskusji o otwartości w nauce, oraz o otwartości językoznawstwa na nowe metodologie badawcze?

Jerzy Bartmiński: Proszę Państwa, zostałem przedstawiony jako etnolingwista, ale gdybym się miał sam określić, kim jestem, to chyba bym w pierwszej kolejności powiedział: tekstolog. Nawet książkę przywiozłem z sobą - podręcznik tekstologii, który napisaliśmy razem z moją żoną, Stanisławą Niebrzegowska-Bartmińską. Ten podręcznik powstał, nawiasem mówiąc, jako produkt uboczny habilitacji mojej żony, która napisała książkę o wzorcach tekstów ustnych w folklorze, jako lingwistka i folklorystka, pokazała, że w folklorze, w ustnej tradycji są pewne niesłychanie wyraziste wzorce tekstowe. I ja to kupiłem, dołożyłem swoje i bazując na dorobku mojej żony – rozwinąłem w koncepcję tekstologii integralnej, jako nauki o tekście, po prostu, a nie tylko sztuce wydawania tekstów. Koniec końców w czasie jednych zarwanych wakacji w roku 2008 napisaliśmy podręcznik. Dziękuję za dobre słowo, które o nim tutaj padło, rzeczywiście ma on kolejne wydania. Ale powstały od razu problemy, bo weszliśmy na teren zajęty i tak jakby trochę zastrzeżony. Tekstologia, jak można zobaczyć w Wikipedii i w słownikach języka polskiego, jest utożsamiana z edytorstwem. I powstał pierwszy problem: jak edytorstwo i tekstologia mają się do siebie? Są niezależne czy jakoś powiązane?

I zaproponowaliśmy „pierwsze otwarcie", już teraz nawiązuję do tematu „otwarcia" – uznaliśmy, że warto przewentylować trochę terminologię, rozszerzyć formułę tekstologii tak, żeby zachować w jej ramach edytorstwo, ale objąć tym mianem coś więcej: naukę o tekście. To nie była polemika z rozumieniem tekstologii jako edytorstwa, to było rozszerzenie, owszem dość radykalne, więc można powiedzieć otwarcie. Chcieliśmy otworzyć dyskusję na temat tego, czym jest w tej chwili, czym może być czym, a nawet czym powinna być nauka o tekście. Zachowując termin *tekstologia* i rozszerzając jego zakres znaczeniowy, chcieliśmy przy tym dostosować się do tradycji terminologicznej (językoznawczej i nie tylko), bo skoro wymienia się taki subdyscypliny jak fonologia, morfologia, leksykologia, a jest też genologia, teatrologia, muzykologia itp., to dlaczego nie stworzyć zgodnie z logiką kolejnego określenia *tekstologia* i objąć nim wszystkiego, co dotyczy tekstów: nie tylko edytorstwa, ale też teorii tekstu, struktury i semantyki tekstu, działań na gotowych tekstach, zasad analizy i interpretacji tekstów itp. Ważną praktyką jest też systematyka tekstów i procedury przekształcania tekstów. Skończyło się na propozycji „tekstologii integralnej".

Ale spróbowaliśmy też „drugiego otwarcia", polegającego na zakwestionowaniu, a właściwie zniesieniu granicy między językoznawczym a literaturoznawczym podejściem do tekstu. Tu spotkaliśmy się z propozycjami prof. Elżbiety Tabakowskiej, która też z pozycji

tłumacza, także zakwestionowała takie rozróżnienie. Czy to się udało? Moim zdaniem – chyba nie. Jak patrzę na sposób rozumienia tekstologii w różnych ostatnio publikowanych pracach, to widzę, że nic się nie zmieniło. I to jest temat do jakiegoś przedyskutowania. Może to była pozycja za daleko idąca, może przedwczesna?

Powiem jeszcze o „trzecim otwarciu", może najbardziej potrzebnym, międzydyscyplinarnym. Otwarciu – by tak rzec – poziomym. Chodzi o to, że między filologiami: polską, angielską, rosyjską, niemiecką, francuską itd. nie ma przepływów informacji. Jest tak, jak w przysłowiu: „Każdy sobie rzepkę skrobie". Brak porozumienia dotyczącego podstawowego w końcu obiektu badań filologicznych, jakim jest tekst. Uderzyło to nas przy pisaniu wspomnianej *Tekstologii*. Zreferuję Państwu fragmencik naszej książki. Otóż, praktyką lat ostatnich stało się publikowanie polskich przekładów ważnych książek autorów obcych. Wyszła sztandarowa dla semiotycznej szkoły tartusko-moskiewskiej książka Łotmana *O strukturze tekstu artystycznego* w 1984, znakomita *Estetyka twórczości słownej* Bachtina w 1986 roku, *Wstęp do lingwistyki tekstu* Beaugrande'a i Dresslera w 1990, Borysa Uspieńskiego o poetyce kompozycji, zwarty tom o dyskursie Teuna van Dijka w 2001. Postępy w niemieckich badaniach nad tekstem przybliża antologia *Lingwistyka tekstu w Niemczech* Bilut-Homplewicz, Czachur i Smykały. Instytut Germanistyki zaczął, co skądinąd chwalebne, publikowanie polsko-niemieckiej serii *Tekst i dyskurs. Text und Diskurs*, ale dlaczego tylko polsko-niemieckiej, a nie szerzej? Badania polskie nad tekstem rozwijają się w kręgu inspiracji zagranicznych, płynących z różnych stron. Po pierwsze ze szkoły praskiej Mathesiusa, Daneša, Firbasa, po drugie ze wschodu – Łotmana, Bachtina, po trzecie z zachodu – van Dijka, Beaugrande'a i Dresslera, Hallidaya, narratologów francuskich Bartesa, Todorova, hermeneuty Ricoeura itd. Recepcja tych prac w Polsce jest bardzo zróżnicowana w zależności od środowiska i specjalności naukowej. Prawidłowością jest wybiórczość: z literatury naukowej anglojęzycznej korzystają angliści, z niemieckojęzycznej – germaniści, z francuskiej – romaniści. Dorobek tekstologii rosyjskiej wykorzystywany jest w pracach w ośrodku warszawskim (Wierzbicka, Mayenowa, Dobrzyńska), katowickim (Ostaszewska), także w lubelskim (Mazur, Niebrzegowska), ale nasi „zachodni" neofilolodzy sięgają do niego rzadko. Dopływ myśli z zewnątrz jest oczywiście cenny i inspirujący, ale niestety idzie to w parze z selektywnością i niedostatkiem krytycznej recepcji na gruncie polskim. Efektem jest trudność (niemożność?) wybicia się polskich badań tekstologicznych na samodzielność.

Dwie słabe strony polskiej tekstologii to z jednej strony właśnie wskazana wybiórczość, a z drugiej, co jest znacznie gorsze, nieciągłość. Nieciągłość polega to na tym, że wyżej ceniąc nowości przywożone z prestiżowych ośrodków zagranicznych, nie docenia się własnej, polskiej

myśli naukowej i skazuje ją na niebyt. A były w nieodległej przeszłości przynajmniej dwie próby stworzenia polskiej szkoły badań nad tekstem, ale nie zostały rozwinięte, padły. Pierwszą była przedwojenna inicjatywa Szobera i Jodłowskiego, badania zasad szyku i „psychologicznej podzielności" członów zdania, a w kolejności Klemensiewicza (1949) zapoczątkowanie badań nad „stosunkami nawiązania". Wszystko skończyło się na wstępnych szkicach. Druga próba stworzenia polskiej szkoły tekstologicznej pojawiła się w latach 60. na KUL-u, też została zapomniana. Kto dziś pamięta pionierskie prace Górnego, Brajerskiego, Kaczmarkowskiego o przytoczeniach? Nie wiedzą i nie pamiętają o nich nawet pracownicy macierzystej uczelni. Kończę i powiem raz jeszcze: potrzebne jest współdziałanie wszystkich filologów, językoznawców i literaturoznawców, na gruncie tekstologii, w ramach tekstologii integralnej. Przypomnę w tym punkcie bardzo ciekawą wypowiedź Ryszarda Nycza na kongresie polonistycznym tu w Krakowie – dwa czy trzy lata temu – na temat tego, czym jest, i czym powinien być tekst w badaniach filologicznych.

Joanna Dybiec-Gajer: Bardzo dziękuję za te uwagi. Pozwolę sobie teraz przekazać głos wedle kolejności p. Prof. Tabakowskiej, ale nie wykluczam elementu zaskoczenia.

Elżbieta Tabakowska: Ja się na tekstologii nie znam. Moje drzwi są w trochę innej ścianie, ale właściwie tylko pozornie, bo to co mam do powiedzenia, to się bardzo wiąże z tym, co powiedział Pan Profesor, bo ja bym otwierała językoznawstwo na literaturoznawstwo i odwrotnie. Ta przepaść ciągle jeszcze zionie dość tak boleśnie, a to jest niedobrze. Jak usiłuję jakieś drzwi, no może już nie wyważyć, ale uchylić troszkę, to używam takiej prostej, ale bardzo demagogicznej metafory. Jeżeli się pomyśli o kursie krawiectwa, to nie sposób krawcowej nie wrzucić trochę wiedzy o materiałoznawstwie, prawda? Ona musi wiedzieć, że jak szyje suknię na bal, to nie będzie jej szyła z tweedu, na przykład, ani z filcu. I dlatego też, jeżeli ona już wybierze ten materiał, no to ktoś musi jej powiedzieć, jak powinien wyglądać fason. I dlatego to, co z tym językiem robią autorzy tekstów, a tekstów literackich, czy wręcz poetyckich w szczególności, nie może się obejść bez choćby jakiejś ogólnej wiedzy na temat tego, czym jest język i jak działa, dlaczego działa tak, a nie inaczej. Z kolei językoznawca, który często tylko zajmuje się pojedynczym zdaniami, na ogół własnego wyrobu, też powinien wiedzieć, co ludzie sprawni w tym rzemiośle i zręczni potrafią z tego językowego materiału uszyć. I wobec tego wydaje mi się, że to jest nawiązanie do tekstologii, prawda? I badanie nad…- nie „nad", ale „badanie tekstu", na przykład… *a propos* – różnica między „badaniem nad tekstem", a „badaniem tekstu". „Badanie tekstu" oznacza wchodzenie głębiej niż „badanie nad tekstem".

Takie rzeczy językoznawca powinien umieć dostrzec i wykorzystać. Tekstologia powinna obejmować teksty różnego rodzaju. I właśnie rozpatrywać je w zależności od tego, jakie sposoby używania języka się dla danego tekstu nadają, a jakie się nie nadają. I wydaje mi się, że można sobie wyobrazić, że jakaś taka kładka huśta się nad tą przepaścią, i że tłumacz – a to jest moja działka, jak państwo usłyszeli – stoi na tym mostku i tak się huśta, i patrzy to w jedną stronę, to w drugą stronę. Ja nie wiem, czy tu są jakieś drzwi, ale na pewno jest otwarcie. Czyli mój postulat byłby: tekstologia – tak, ale również połączenie tych dwóch dyscyplin, które się rozeszły dość dawno, bo jak Państwo wiedzą dawniej, dawniej, całkiem dawno, to była jedność, żeby jakoś spróbować je jeszcze scalić. I żeby to zrobić bardziej symetrycznie: powiedzenie „wy się otwórzcie na nas", to takie jest protekcjonalne i ma się ochotę powiedzieć: „a figę, nie", ale żeby się otworzyć nawzajem na siebie. To tyle.

Joanna Dybiec-Gajer: Ponieważ został wywołany temat rozziewu między literaturoznawstwem a językoznawstwem i pojawiła się metafora kładki – nie wiem, na ile stabilnej, na ile chybotliwej, to chciałabym w takim razie zrobić niespodziankę i oddać głos Panu Przewodniczącemu Tertium, żeby powiedział, jak można na to spojrzeć z perspektywy stowarzyszenia, które działa już ponad dwadzieścia lat, a teraz zorganizowało 10. jubileuszową konferencję.

Władysław Chłopicki: Dziękuję bardzo! Właśnie myślę, że to taki dobry moment, żeby odpowiedzieć jakoś na ten dwugłos, który bardzo był miły mojemu sercu, bo Tertium w zasadzie od tego się zaczęło i trochę takim bodźcem, żeby organizować te konferencje, był właśnie sposób myślenia i funkcjonowania w nauce Pani Prof. Tabakowskiej. Była to szkoła łączenia różnych rzeczy, różnych dyscyplin, zwłaszcza dydaktyki z badaniami. Naszą dyskusję zaczęliśmy od tego podręcznika tekstologii, który jest innym przykładem takiego łączenia. Dla nauczycieli akademickich często nie jest oczywiste, że można w ogóle łączyć dydaktykę z badaniami. Dla mnie także było to w pewnym momencie odkrycie: jak to jest możliwe? A jest to możliwe i da się zrobić. Więc szkoła łączenia dyscyplin, w przypadku Pani Profesor – przekładoznawstwa i językoznawstwa kognitywnego.

Próbowaliśmy tutaj szukać odpowiedzi na to właśnie, co Pan Profesor określił jako problem w tekstologii, tzn. że „każdy sobie rzepkę skrobie" – czyli poloniści, angliści, germaniści, romaniści, slawiści, rusycyści robią swoje własne, niezależne badania. Do tej pory nie mieliśmy żadnej konferencji dotyczącej tekstologii, więc być może jest to sugestia – zająć się tekstem jako takim. Zajmowaliśmy się raczej problemami typu dosłowność – niedosłowność, słowo w

kontekście, czy też terminologia. To były też takie próby przerzucenia mostu pomiędzy różnymi dyscyplinami. Więc, na przykład, próbowaliśmy łączyć różne badania na poziomie niehermetyczności, czyli na poziomie dość takim, ktoś by powiedział, ogólnikowym lub też pozbawionym specjalistycznej terminologii. Niektórzy nie mogą funkcjonować bez „opakowania" terminologią, chociaż my oczywiście też nie funkcjonujemy całkiem bez terminologii. Jeżeli ktoś ma jej używać, to powinien wyjaśnić poszczególne terminy, bo jednak inne filologie mogą je inaczej rozumieć. Podobnie jak inne szkoły językoznawcze. Na naszych konferencjach odbywały się na przykład dość już słynne dziś dyskusje pomiędzy komunikatywistami a kognitywistami, opublikowane zresztą w naszej serii „Język a komunikacja", gdzie próbowaliśmy się wzajemnie zrozumieć, co nie do końca chyba wyszło. Jak Państwo zajrzą do książeczki *Kognitywizm i komunikatywizm: dwa bieguny współczesnego językoznawstwa* (2006), to tam jest taki śmieszny glosariusz, który zawiera definicje, do których odnośniki zawarte są w tekście, ale definicje nie zawsze odzwierciedlają to, o czym akurat mówią wypowiadający się kognitywiści czy komunikatywiści – ale terminów używają tych samych. Myślę, że warto na to spojrzeć, bo to jest taki symbol problemu.

Więc łączyliśmy… zaczęło się od polonistów tak naprawdę, bo łączyliśmy badania odmian rejestrów języka polskiego, to była zawsze jedna z takich mocniejszych tutaj ścieżek badawczych, którą kroczyli także różni neofilolodzy. Dalej było przekładoznawstwo, kulturoznawstwo, metodyka nauczania języków obcych, czy językoznawstwo kontrastywne. Staraliśmy się jakoś znaleźć wspólny język z osobami, które się językoznawstwem kontrastywnym zajmują. Nie do końca mogliśmy się jednak porozumieć z osobami pracującymi w tej metodologii, bo to jest taka dość szczególna metodologia. Więc sekcje kontrastywne trochę zawsze odstawały swoim sposobem myślenia i metodologią od pozostałych. Zawsze była też reprezentowana pragmatyka językoznawcza czy językoznawstwo kontekstowe generalnie, czyli tekstologia jak najbardziej by nam pasowała jako taki wiodący motyw. Mieliśmy również komunikację międzykulturową, a ostatnio pojawiło się językoznawstwo antropologiczne. Te konferencje zaczęły się „z taką pewną nieśmiałością", jak to się mówiło kiedyś idąc za reklamą, nie wiedzieliśmy, czym to się skończy, a okazało się, że cieszyły się dość dużą popularnością i ludzie z bardzo różnych stron Polski zaczęli na nie przyjeżdżać i z przyjemnością brać udział. Mam nadzieję, że działo się tak właśnie ze względu na tę formułę – taką otwartą i łączącą.

Podobało mi się także, że Pan Profesor wspomniał dzisiaj w swoim referacie o istotności osoby w relacji do badań. Zawsze tak myśleliśmy, że badania jakby krążą wokół osoby. I stąd w pewnym momencie na dziesięciolecie powstania towarzystwa Tertium wręczyliśmy dyplomy przyjaciołom Tertium, co też było takim symbolem, że jednak wszystko krąży wokół osób. Jest

taka wspólnota osób, które starają się wypracować jakiś wspólny paradygmat nauki, aczkolwiek ten paradygmat, muszę przyznać, nie jest taki spójny, jak paradygmat etnolingwistyczny. Jak Pan Profesor dzisiaj przedstawił to w swoim wykładzie, szkoła etnolingwistyczna, to prawdziwa szkoła z jasnymi założeniami, natomiast my zajmujemy się raczej językoznawstwem kontekstowym, generalnie biorąc, uwzględniając elementy międzykulturowe, element przekładoznawczy i wszelkie zastosowania, czyli zwłaszcza nauczanie i podręczniki. Zatem mieliśmy ogólną ideę wspólną.

Joanna Dybiec-Gajer: Bardzo dziękuję. Ponieważ pojawił się teraz w dyskusji temat osoby badacza i w ogóle osoby ludzkiej jako takiej, a we wcześniejszym jeszcze panelu mówiliśmy o wzniosłych sprawach przekładu tekstów religijnych i o sprawczej mocy słowa, to pozwolę sobie teraz przekazać głos Pani Doktor Majewskiej, która z tego aspektu spojrzy na komunikację.

Małgorzata Majewska: Szanowni Państwo! Ja powiem o otwartości w języku w bardzo praktycznym wymiarze, dlatego że z inicjatywy p. Prof. Tabakowskiej, której absolutnie czuję się uczennicą, wiele lat temu zainicjowałam projekt „Słowo też jest lekiem". Ten projekt, oprócz badań naukowych, ma też duży praktyczny wymiar. Bardzo dużo szkolę lekarzy, szczególnie onkologów, lekarzy rodzinnych, lekarzy pediatrów. Badam język terapii, czyli badam język w psychologii. Ta otwartość języka, jak ją rozumiem i jak rozumiem trochę moją rolę, bardzo wyraźnie dzisiaj jest widoczna właśnie w momencie, kiedy za pomocą języka pomagam oswajać świat pacjentowi czy lekarzowi. Chcę powiedzieć o trzech momentach, które może dla nas językoznawców są oczywiste, natomiast dla ludzi, którzy „nie siedzą" w lingwistyce, są zupełnym odkryciem.

Pierwsza rzecz, która absolutnie jest wstrząsająca i którą bardzo wyraźnie widzę czy w swoich badaniach, czy praktyce, jest to, że język pokazuje stopień gotowości pacjenta i lekarza na przyjęcie informacji o chorobie. Ja to ładnie nazywam „zgodą na ontyczne zaistnienie choroby w jego życiu". Moją powszechną obserwacją jest to, że pacjenci np. nie używają nazwy choroby. Ja z karty wiem, że jest to np. nowotwór piersi czy jelita grubego, a pacjent mówi, że jego „coś" boli w brzuchu. Lekarz mówi: „Ale Pan ma raka". Pacjent: „Nie, nie, Panie Doktorze, to coś tylko boli". To nie jest w ogóle orzekanie o rzeczywistości obiektywnej, to jest orzekanie pacjenta o jego gotowości percepcyjnej na przyjęcie informacji: „jestem chory". Pacjenci, dopóki nie wypowiedzą tej magicznego formuły tożsamościowej: „jestem chory" albo zdania w

schemacie posiadania „mam raka", to tak naprawdę oni jeszcze próbują żyć w takiej iluzji, w takiej ułudzie. Czasem, kiedy np. stan jest poważny, rozmawiamy z lekarzami, że może z tej ułudy nie zawsze warto pacjenta wyciągać. Jeżeli stan jest beznadziejny, to może po prostu zostawmy pacjenta w jego iluzji. Są sytuacje, kiedy rokowania są dobre, albo pacjent jest w dobrym stanie psychicznym, gdy odpowiednia rozmowa potrafi uruchomić w nim duże poczucie sprawczości własnej.

Kiedy szkolę lekarzy, personel, bardzo dużą wagę przywiązuję do tego, aby nie używali formuł biernych, tylko formuły z użyciem *my* solidarnościowego: „damy radę" albo „zawalczymy" albo tak zbudowali zdanie, by pacjent miał uruchomioną decyzyjność: „jaką Pan decyzję podejmuje?". W sytuacjach, gdy pacjent dostaje, załóżmy, jakieś witaminy, to proponuję lekarzowi, by dał tę samą witaminę, to samo lekarstwo, jeśli to technicznie możliwe, w dwóch wersjach, żeby to pacjent miał poczucie sprawczości, że on wybiera. Podobnie w innych sytuacjach medycznych, by – na ile to możliwe – móc zaproponować pacjentowi, by wybrał jedną albo drugą ścieżkę. W formie pojedynczej, kiedy pacjent mówi: „wybieram", podejmuje decyzję, uruchamia w ten sposób poziom sprawczości. Czuje, że ma bardzo realny wpływ na sytuację. Nie ma na ten temat jeszcze badań, ale z mojej obserwacji badań (ja już te badania prowadzę trzynaście lat), ewidentnie widzę, że ci pacjenci, u których uda się zaktywizować sprawczość, u których uda się zaktywizować tożsamość z chorobą, że on nie ma choroby, że on jest chorobą, ta choroba wyraża, ta choroba coś o nim mówi, wówczas on się bardziej angażuje w leczenie, staje się bardziej partnerem. My go otwieramy językowo na to, że on może, że on ma wpływ na to, co się dzieje.

Trzeci element jest absolutnie szokujący dla mnie w praktyce. Dla mnie jako uczennicy prof. Tabakowskiej, metafora była dla mnie czymś oczywistym. Myślenie metaforą nie miało funkcji odkrywczej, dopóki nie pokazałam lekarzom i pacjentom ich metafory, które czasem zamykają, czasem otwierają. Jeżeli mamy metaforę walki i lekarz z pacjentem buduje wspólny front przeciwko temu, z czym mają się zmierzyć, to bardzo często jest tak, że metafora wspólnotowa *kontra* choroba po prostu znowu aktywizuje poczucie sprawczości i sprawia, że pacjent do tej choroby podchodzi w bardziej aktywny sposób. Natomiast w momencie, kiedy ja widzę wysoki poziom zewnątrzsterowności u pacjenta: „Czemu świat mi to robi? Choroba na mnie spadła, dopadł mnie rak", to on całą swoją aktywność, całą sprawczość przenosi na świat zewnętrzny, czyli mówi: „Mnie się to przydarzyło" – tu mamy konstrukcję „mnie", gdzie pokazuje percepcyjnie, że mówiący sytuuje siebie jako ofiarę. Takich przykładów mam tysiące. Dzisiaj bardziej chciałam zasygnalizować problem, że na tę otwartość, o której Państwo tak

przepięknie teoretycznie mówicie, ja widzę bardzo realne przełożenie i widzę, jak niektórzy ludzi kapitalnie otwierając się przez język na swoją chorobę, zmieniają swoje życie.

Joanna Dybiec-Gajer: Może przejdziemy w obszar kolejny…

Maciej Eder: Jak tu wziąć po Bekwarku lutniej (cytując Kochanowskiego), po tak znakomitych przedmówcach. Głosy Państwa mówiących przede mną pokazują, jak szeroka i pojemna jest metafora otwartości. Ja zaproszony to tego panelu przez Panią Profesor, za co dziękuję, z taką pewną nieśmiałością zastanawiam się, co ja mam do powiedzenia na temat otwartości – pewnie niewiele. Zacząłem przyglądać się programowi konferencji i wypisywać tematy związane z otwartością, czy wręcz odwołujące się do tego terminu. Kilka takich kręgów tematycznych zaczęło mi się ukazywać. Ja sobie pozwolę kilka takich tytułów przeczytać; pokazać, jak bardzo my wszyscy tę metaforę otwartości rozumiemy szeroko. Są referaty odnoszące się do integralnej otwartości, całościowej, holistycznej, np. „teolingwistyczne wymiary otwartości", „otwartość na inne tradycje wyznaniowe" czy "otwartość na doświadczenie w ujęcia Carla Logersa" (niektóre tytuły nieco parafrazuję). Kilka wystąpień rozumie otwartość jako tolerancję, ciekawość inności, otwartość na inność: „rodzicielstwo otwarte", „językowy obraz dziecka", „otwartość na inność w literaturze włoskiej", „otwartość w dyskursie rekonstrukcyjnym", „otwartość w badaniach nad przekładem filmowym", „otwartość na inne kompetencje miękkie tłumacza przysięgłego", czy „granice otwartości w przekładzie dla dzieci" – to na przykładzie Złotej Różdżki w Pani Profesor wystąpieniu. Wreszcie część referatów dotyczy otwartości w systemie językowym, który ma zdolność do, by tak rzec, przepoczwarzania się czy ewoluowania, który nie jest systemem zamkniętym, a zatem jest systemem otwartym na innowacje, na dopełnienia w systemie językowym, jeśli takie dopełnienie może się zdarzyć: „otwartość jednostki językowej", „otwartość mechanizmów funkcjonowania języka", „otwartość metafory", „morfopragmatyka jako przykład otwartości w badaniach językowych", „otwartość na zamierzenie komunikatu". I wreszcie kilka referatów odwołuje się do otwartości jako interdyscyplinarności, jako otwartości na inne paradygmaty, czy też inne szkoły badawcze. Nie chcę powiedzieć, że ten temat dominuje, ale jest też bardzo wyraźny na naszej konferencji: „dydaktyka języków obcych a otwartość na nowe zjawiska w komunikacji pisemnej", „otwartość na różnorodność w kontekście krytycznej analizy dyskursu mitu piękna", etc. Są też wystąpienia, w których *explicite* słowo *otwartość* nie pada, ale są o otwartości na inne

paradygmaty: „teoretyczne wybory i zmiany paradygmatów", „trudności dialogu interdyscyplinarnego", „rosyjski dyskurs prasowy w perspektywie przekładowej", „problemy językowe i implikacje międzykulturowe", „o rosyjskojęzycznych przekładach w kontekście poli- i inter-dyscyplinarności" i wreszcie „założenia i postulaty lingwistyki kulturowej" – dzisiejszy wykład Pana Profesora, który też jest postulatem integralności, postulatem łączenia różnych paradygmatów.

Pani Profesor też przed momentem mówiła – z czym się bardzo głęboko zgadzam – o potrzebie, o tym, że warto, aby językoznawstwo i literaturoznawstwo z powrotem zaczęły ze sobą rozmawiać. Nie wiem, czy jestem najlepszą osobą, żeby o tym mówić, ale Pani Profesor mnie przedstawiła jako stylometrę (podniosłem nieco brew ze zdziwienia), więc niech już tak będzie. Zajmowałem się przez wiele lat Kochanowskim, Rejem i literaturą dawną; w tej chwili zajmuje się bardziej językoznawstwem, językoznawstwem kwantytatywnym, przy czym moje zainteresowania mieszczą się w obrębie czegoś, co się nazywa humanistyką cyfrową (*digital humanities*). Oprócz tego, że w humanistyce cyfrowej wiele się dzieje, przy czym są to nie tylko liczne wartościowe konferencje, w tym duża konferencja krakowska dwa lata temu (2016), nie tylko prowadzonych jest dużo interdyscyplinarnych projektów, ale od samego początku ta stosunkowo młoda dyscyplina odwoływała się jednocześnie do literaturoznawstwa i kulturoznawstwa. Mało tego, główna organizacja miała niegdyś w swojej nazwie, a także w tytule firmowanego przez siebie czasopisma (dzisiaj wysokopunktowany periodyk na liście filadelfijskiej), zarówno jeden, jak i drugi człon: *Literary and Linguistic Computing* (czyli mowa była od początku o technikach komputerowych jednocześnie w językoznawstwie i literaturoznawstwie). Nie było potrzeby i do dziś nie ma potrzeby rozdzielania tego na dwie różne dyscypliny. To czasopismo dzisiaj nazywa się jeszcze inaczej: *Digital Scholarship in the Humanities*, czyli jeszcze szerzej patrzy, jeszcze szerzej jest otwarte. Temat inkluzywności, czy też otwarcia się na różne kultury przede wszystkim, jest środowisku humanistyki cyfrowej bardzo istotny. Więc ja tutaj głęboko się z Państwem zgadzam, że taka potrzeba istnieje i warto w tę stronę się otwierać.

Natomiast zaproszony do tego panelu, nie bardzo wiedząc, co miałem powiedzieć, zacząłem się zastanawiać, czym dla mnie jest otwartość w tematyce, którą sam się ostatnio zajmuję. A obecnie interesuje mnie temat atrybucji autorskiej, czyli pytanie, czy jestem w stanie znaleźć autora tekstu anonimowego, jeśli mam tylko tekst do dyspozycji i żadnych danych pozatekstowych. Czy jestem w stanie wychwycić cechy językowe, żeby tego autora „przyszpilić". Interesuje mnie zatem z punktu widzenia językoznawczego pytanie głęboko

literaturoznawcze: „kim jest autor", z wszystkimi tego faktu implikacjami. Jeśli więc otwartość, to w tym kontekście przede wszystkim otwartość na paradygmaty badawcze dwóch różnych dyscyplin, ale również otwartość samej procedury badawczej.

I w tym miejscu pozwolę sobie otworzyć kolejne drzwi (skoro mówimy tutaj o otwartości, to chyba kolejne drzwi otworzyć mi wolno): mam na myśli otwartość w badaniach naukowych, czyli powtarzalność eksperymentu jako warunek badania naukowego. Chodzi o solidność badań – rozumianą tak, że jeżeli przeprowadzam jakiś eksperyment, to muszę bardzo otwarcie napisać, jakie teksty wziąłem, jakich metod użyłem, jakiego oprogramowania, dokładnie opisać krok po kroku cały eksperyment, żeby można było po mnie ów eksperyment powtórzyć. A zatem otwartość rozumiana jako uczciwość badawcza, jako otwartość procedury badawczej jest dla mnie fundamentalnie istotna i chyba nie tylko dla mnie. Powtarzalność eksperymentu, czyli to, że za dwadzieścia lat taki eksperyment będzie można powtórzyć. Ale nawet nie za dwadzieścia. Niedawno, w 2015 roku, ukazał się w czasopiśmie *Science* pewien bardzo krótki meta-artykulik, który opisuje 100 najlepszych eksperymentów z dziedziny psychologii i psycholingwistyki, opublikowanych w trzech topowych czasopismach psycholingwistycznych i psychologicznych: *Nature, Science* i coś trzeciego. To były eksperymenty z samego 2015 roku. Otóż okazało się, że z tych 100 eksperymentów udało się powtórzyć niecałą połowę: albo dlatego, że badacze troszkę „podkręcali" wyniki, albo dlatego, że niedokładnie opisywali eksperyment, albo dlatego, żeby coś ukryć, żeby te wyniki lepiej wyglądały. Krótko mówiąc, to są najświeższe badania (nie dziewiętnastowieczne!) w najbardziej topowych czasopismach, i mimo to zaledwie połowę eksperymentów udało się powtórzyć! Reszta była nie do końca otwarta, nie do końca szczera. To jest dla mnie ważne.

Idąc dalej: w kontekście tematyki, która się zajmuję, czyli analizą tekstów na dużą skalę, również bardzo dla mnie istotne jest otwarcie korpusów tekstowych. Dla mnie jest rzeczą oburzającą, że *Narodowy Korpus Języka Polskiego* (NKJP) nie jest otwarty: z powodu praw autorskich nie mamy dostępu do języka z ostatnich 70 lat. Istnieją korpusy, które wprawdzie otwarte nie są (np. *The Corpus of Historical American English*), ale za 300 dolarów można kupić dokładnie ten sam zestaw tekstów, który został stworzony na Uniwersytecie Brighama Younga i można powtórzyć eksperyment. A w wypadku NKJP nawet gdybyśmy zapłacili, to nie jesteśmy w stanie eksperymentu powtórzyć. To jest dla mnie duży problem. I wreszcie kolejny problem z tym związany, to problem otwartości samych publikacji. Mam tu na myśl cały ruch *open access*, czyli czasopism, w których można dostać bez płacenia wielkich pieniędzy artykuł, który chcemy przeczytać. Nas niebędących w centrum, niebędących krajem

mocno rozwiniętym stawia na nieco przegranej pozycji, jeśli dostęp do najnowszej literatury przedmiotu jest obwarowany wysoką opłatą. Jeżeli Państwo chcecie sobie mój artykuł przeczytać, to za 25 dolarów od sztuki mogą go Państwo kupić, ale czy o to chodzi w nauce? Skoro raz podatnik na to wyłożył, to dlaczego podatnik ma drugi raz płacić te 25 dolarów za każdy artykuł? Czy nie byłoby rzeczą sensowną to wszystko otworzyć? Stąd głęboko popieram ruch *open access*, który postuluje otwarty dostęp do efektów badań naukowych, czyli do publikacji. To samo mam do powiedzenia o oprogramowaniu, którego używam i które też powinno być na otwartym kodzie udostępnione. Dziękuję bardzo.

Joanna Dybiec-Gajec: Jeżeli ktoś z Państwa chciałby się ustosunkować do wypowiedzi lub dodać jakiś wątek, to bardzo chętnie przekażę mikrofon.

Elżbieta Tabakowska: Dwa drobne punkty, które mi w trakcie dyskusji przyszły do głowy. Dwa rodzaje otwartości. Pierwsza: otwartość wszystkich filologii w Polsce na polskość języka i literatury. Drzemie takie przeświadczenie, że jeżeli ktoś w tym kraju się urodził i jest rodzimym użytkownikiem języka, to go rodzimie używa. Trzeba tę „nóżkę" polską mocno postawić na ziemi, co filologom obcym ciągle jeszcze trudno jest wyperswadować. Druga otwartość: żeby się eksperci otworzyli na ludzi. To mi przyszło do głowy, kiedy mówił Pan Profesor Eder na temat rzetelności badań naukowych. To bardzo ważne.

Ale ważne jest też upowszechnianie tego, co ludzie, którzy chcieliby się nazywać ludźmi nauki, czy ekspertami, piszą. Komunikacja w ścisłym kręgu ekspertów jest rzeczą ważną. Ale myślę, że często brak otwartości na normalnego człowieka, który chciałby wiedzieć „co jest grane". W tym specjalistycznym gąszczu sfrustrowany laik wali głową w zamknięte drzwi. Jeżeli publikujemy, zwłaszcza w *open access*, co też oczywiście gorąco popieram, to piszmy to, co piszemy, tak, aby to się dało czytać. To też jest jakaś otwartość i chyba dość ważna.

Joanna Dybiec-Gajer: Pan Profesor też zgłaszał chęć zabrania głosu – proszę bardzo.

Jerzy Bartmiński: Prof. Tabakowska powiedziała, aby otworzyć ekspertów na ludzi. A ja bym to powiązał z tym, co mówił W. Chłopicki: otworzyć naukę na dydaktykę. Pierwszymi ludźmi, na których akademiccy eksperci powinni się otworzyć, są nasi studenci. Chcę ten wątek podkreślić, bo jest ważny i ciekawy. Czy studenci mogą uczestniczyć w badaniach naukowych prowadzonych przez nas? To dopiero byłoby otwarcie! Mieliśmy dzisiaj piękny moment. Wystąpiła z referatem na jednej sesji pani, która nas zachwyciła. Prowadząca zdradziła, że to jest tylko licencjatka, czyli studentka. To był piękny referat. To jest dla mnie przykład i dowód bardzo znaczący, że możemy młodym ludziom, naszym studentom zaproponować udział w naszych badaniach. Ja mam przyjaciela, którego poznałem będąc na stypendium w Bochum, prof. Michaela Fleischera. Usłyszałem od niego formułę, którą praktykował: Nauczać studentów przez udostępnienie uczestnictwa w naszych pracach naukowych. I to jest piękna, prawdziwie uniwersytecka formuła. Ja też to praktykowałem, tylko nie wiedziałem, że „mówię prozą", robiłem podobne rzeczy, ale ich tak nie nazywałem. Praktykowanie takiej zasady daje nam korzyści czysto dydaktyczne, wychowawcze, ale to daje też przypływ nowych pomysłów z tych młodych głów wyskakujących. Przykład. Wydaliśmy w Lublinie – był to pomysł studentów – *Historię mówioną w świetle etnolingwistyki*. Studenci wydali taką małą broszurkę. Ostatnio usłyszałem w Instytucie Slawistyki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, że powołują się na nią jako najciekawszą pozycję dotyczącą historii mówionej. W studenckich głowach legną się ciekawe pomysły. Miłosz kiedyś powiedział, że on lubi czytać wiersze pisane w studenckich kampusach, bo tam są młode, świeże umysły, jeszcze nieprzeciążone erudycją. Potrafią twórczo myśleć. I to jest ta szansa dla nas jako naukowców. Ja korzystałem często w swoich pracach z inspiracji studenckich, ale formuła Fleischera „uczyć studentów przez umożliwienie uczestniczenia w naszych badaniach naukowych" – oznacza otwarcie, bardzo proste, będące w zasięgu naszych możliwości.

Małgorzata Majewska: Pan Profesor Eder mówił o tym, jak Internet, jak w ogóle wirtualny świat otwiera naukę, świat na przeciętnego człowieka. Ja może takim optymizmem chciałabym tu powiać. Studenci psychologii zaproponowali m.in. mnie nagrywanie filmików naukowych. Ja miałam za zadanie mówić o języku językiem dla laika. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że po tygodniu wyświetlania takich filmików mieliśmy do 15-14 tysięcy wejść. Nagle ludzie, którzy nie byli językoznawcami, zaczęli przysyłać mi przykłady. Ja tam akurat omawiałam konstrukcję „muszę ci przyznać rację". Pastwiłam się nad tą konstrukcją od strony językowej, dlaczego nadawca użył czasownika „muszę". I nagle po tych filmach nastąpiła

pewna interakcja. Mało tego, ci odbiorcy, którzy są niezupełnie związani z językiem, dopominają się, wysyłają kolejne formuły, zlecają kolejne analizy językoznawcze dla laików. I tak sobie myślę, że może ten wirtualny świat daje nam taką możliwość (np. już są wykłady internetowe), takiego dostępu, żeby to, co robimy naukowo, miało szerszy oddźwięk. Jeszcze na koniec powiem Państwu: Pani Prof. Tabakowska popełniła kiedyś taki tekst o „się" na konferencję Tertium jakiś czas temu. Ja ten tekst analizuję bardzo często z psychologami. Nagle się okazuje, że to *się*, ta zwrotność w polszczyźnie jest wykorzystywana w praktyce w takim sensie, że nagle ludzie zauważają: „jak tak mówię, to tak widzę świat."

I już dochodząc do puenty: teraz sobie myślę (to, o czym mówił Prof. Bartmiński i Prof. Tabakowska), że może teraz Internet stworzy platformę takiego porozumienia, platformę dla projektów naukowych. Ludzie będą widzieli swój udział w czymś, co do tej pory było hermetyczne.

Joanna Dybiec-Gajer: Pan Doktor Chłopicki.

Władysław Chłopicki: Dziękuję za te uwagi. Trzy krótkie punkty. Pierwsze to jest upowszechnienie. Od tego właściwie Tertium się zaczęło. Niektórzy tutaj kojarzą Tertium z popularyzacją, co czasem nie jest dobrym punktem odniesienia. Od początku chcieliśmy pozostać na wysokim poziomie naukowym i jednocześnie być zrozumiałym. Taka była idea. To nie jest proste, oczywiście. Nie wiem, czy się to w końcu nam udaje. Tutaj, widzimy, że nam się udaje, ale nie na wszystkich referatach tak jest. Bardzo nam zależało na upowszechnieniu i zaczęliśmy – nie wiem, czy Państwo pamiętają – na pierwsze konferencje zapraszać szkoły średnie i studentów – tych drugich zawsze. Później to trochę zarzuciliśmy. Może trzeba do tego wrócić.

Drugi punkt – to uczestnictwo studentów w badaniach. To jest oczywiście fantastyczny pomysł. Tylko jest tutaj jeden haczyk: mianowicie system powinien to umożliwiać, tzn. system nauczania na uczelniach powinien to umożliwiać i wspierać. Wtedy to pójdzie znacznie łatwiej. W tej chwili student, żeby wziąć udział w badaniach, musi wykazać taką inicjatywę i robić to tak naprawdę w swoim wolnym czasie. Chyba, że pisze pracę licencjacką czy magisterską – wtedy badania mogą być częścią takiej pracy. Studenci mają różne własne zadania i

niekoniecznie badania są ich priorytetem. Być może w ramy wybranych zajęć udałoby się szerzej niż do tej pory włączyć element badawczy.

Trzeci punkt – to uczciwość badawcza, czy rzetelność. Dziękuję za tę myśl, bo była bardzo ciekawa. Ja trochę bałbym się uczciwości potraktowanej w kategoriach powtarzalności eksperymentu w odniesieniu do badań, w których bierze udział młodzież studencka. Rozumiem kontekst, natomiast rzetelność bardziej by do mnie przemawiała jako pojęcie wiodące, bo rozumiałbym to tak: jeżeli osoba prowadząca badania naukowe prowadzi zajęcia, to ona robi to w ten sposób, że prowadzi umysły studenckie tak, żeby oni w pewnym momencie doszli do tego punktu, w którym on czy ona jest, a nie w ten sposób, że im pewien materiał przekazuje i oni muszą sobie z nim poradzić. To są dwa różne podejścia. System uczelniany nie do końca umożliwia to pierwsze podejście, może nie utrudnia, ale nie ułatwia. Materiał dydaktyczny trzeba bowiem zrealizować. Problem wiąże się także z terminologią, która jest często dla studentów twardym orzechem do zgryzienia. A z czasem bez części tej terminologii można się obejść. To jest mały kamyczek do naszych własnych ogródków, w tym także do mojego (tu odnoszę się do niedawnej publikacji Tertium dotyczącej terminologii).

Maciej Eder: Państwo w tej drugiej rundzie poruszyli fundamentalnie istotne sprawy, bo poza wciąganiem studentów do badań naukowych i innych tego typu aktywności widzę pytanie o rolę uniwersytetu. Do jakiego stopnia uniwersytet powinien być wieżą z kości słoniowej, a do jakiego stopnia powinniśmy się otworzyć, do jakiego stopnia ta relacja ze społeczeństwem powinna być dwukierunkowa? W jaki sposób ten transfer wiedzy powinien się odbywać? Wydaje mi się, że to są fundamentalne pytania w dzisiejszych czasach. Jaka jest tak naprawdę rola uniwersytetu: czy to ma być taka wyższa szkoła zawodowa, taka *Fachschule,* która ma nauczyć zawodu i potem jakiegoś ślusarza, ale – powiedzmy – komputerowego (czyli informatyka), albo ślusarza językowego (czyli redaktora) ma wykształcić, czy może ma dać coś więcej?

Nie tylko o tym mówię. Mam tu na myśli moralną misję uniwersytetu, która bywa czasem przeceniana. Jeden konkretny przykład: w zeszłym roku w Charlottesville stanie Wirginia złe rzeczy się wydarzyły, o czym wszyscy wiemy. Chodzi o faszystowskie ekscesy. Rektor Uniwersytetu stanu Wirginia (UVA) nie zabrała głosu, kiedy trzeba było, a potem, po pewnym czasie, próbowała się tłumaczyć, że rolą uniwersytetu jako instytucji nie jest zajmowanie stanowiska moralnego. Pojawiły się potem głosy dużego oburzenia, że rolą uniwersytetu jest

być ostoją moralną. W tej całej wrzawie dwóch zantagonizowanych stron pojawił się bardzo ciekawy tekst germanisty z tejże uczelni, który pisał, że nie powinniśmy oczekiwać od uniwersytetu zbyt wiele. Uniwersytet nie ma kształtować moralności – od tego jest na przykład Kościół. Ale czy to znaczy, że uniwersytet ma tylko nauczyć, wypuścić studentów i już więcej nie interesować się społeczeństwem? Nie. My jako uniwersytet czy jako szkolnictwo wyższe jesteśmy w stanie dać pewne procedury weryfikujące życie w świecie, czyli my jako uniwersytet potrafimy powiedzieć, że jest coś takiego jak recenzja pracy naukowej. Praca naukowa nie może być uznana za prawdziwie naukową, jeśli nie przeszła przez uczciwą recenzję. My wiemy, co to jest dyskusja akademicka, wiemy, co to jest wymiana argumentów. Krótko mówiąc, uniwersytet, który poprzez swoje 800 lat istnienia wypracował pewne procedury życia w świecie uczonych, może dziś te procedury eksportować do życia pozaakademickiego. Rolą uniwersytetu nie jest więc zastępowanie Kościoła, ale coś innego: rola uniwersytetu sprowadza się do rzetelności naukowej, przekazywania transferu wiedzy albo transferu pewnych procedur intelektualnych. Więc tutaj sprawa otwartości też jest kolosalnie istotna.

Joanna Dybiec-Gajer: Pojawiły się bardziej polemiczne wątki i szersze spojrzenie na rolę nas tutaj zgromadzonych, a także na misję i rolę uniwersytetu w społeczeństwie. Jeśli mogę, chciałabym Państwa serdecznie zaprosić do formułowania uwag, które się nasunęły i zadawania pytań. Bardzo serdecznie zapraszam do zabierania głosu.

Lech Zieliński: Proszę Państwa, pozwólcie, że z perspektywy toruńskiej spojrzę na to, co zostało do tej pory powiedziane. Jeżeli chodzi o ten aspekt otwartości poruszonej w kontekście myślenia wychodzącego poza poszczególne neofilologie, to właściwie udało mi się przeflancować tę ideę, poznaną w Krakowie w roku 2000, na grunt toruński i właśnie na poziomie *Rocznika Przekładoznawczego* od początku postanowiliśmy, aby ta dyskusja odbywała się ponad podziałami neofilologii i żeby dzięki temu też środowisko przekładoznawcze poznało się w całej Polsce.

Teraz drugie otworzenie, o którym mówiła Pani Prof. Tabakowska. Można to już pokazać w tradycji XIX wieku, że w tradycji nie było tak do końca tego podziału na literaturoznawstwo i językoznawstwo, że to gdzieś później się zhermetyzowało. Posłużę się tu ponownie przykładem *Rocznika Przekładoznawczego*. Mniej więcej 3 lata temu zauważyłem, że

okopywanie się wokół tłumaczeń specjalistycznych jest jednak dość dużym zawężeniem i tego otwarcia w kierunku połączenia językoznawczo i literaturoznawczo zorientowanych badań przekładoznawczych w ramach jednego pisma również dokonaliśmy.

Jeżeli chodzi natomiast o uwagę Prof. Macieja Edera odnośnie otwartego dostępu, którą bardzo podzielam, to można powiedzieć w odniesieniu do Torunia, że na początku były bardzo mocne dyskusje, ale Rektor 5-6 lat temu podjął decyzję, żeby wszystkie czasopisma naukowe weszły na platformę cyfrową czasopism i żeby wszystko było w otwartym dostępie. Wówczas jako jeden z pierwszych tę decyzję podzieliłem i od 2013 roku *Rocznik Przekładoznawczy* jest na platformie i wszystkie teksty są ściągalne. Długo brakowało numeru 2. ze względów technicznych, jednak również i ten zeszyt jest już na platformie dostępny.

P. Doktor Majewska mówiła o roli Internetu. Mówiłem dzisiaj o wprowadzeniu do polskiego obiegu naukowego myśli Panajotisa Kondylisa. Zdecydowałem bardzo pragmatycznie, żeby umieścić wszystkie te przekłady, jak również teksty, w jednym z tych czasopism, które są dostępne na tej platformie cyfrowej, o której przed chwilą wspomniałem. Efekt jest taki, że niektóre teksty już tam są. To nie są liczby takie, jak tutaj wcześniej wspomniane, ale jednak 70 lub 80 razy zostały ściągnięte, podczas gdy książkę, która jest w jednej z bibliotek, od momentu jej skatalogowania wypożyczono zaledwie jeden raz.

Pozwólcie Państwo, że jeszcze zwrócę uwagę na jedną rzecz, która mi się bardzo podobała. Podam przykład otwierania się na ludzi ze strony naukowców. Myślę, że jeszcze jesteśmy daleko od tego, ale byłem kiedyś na Uniwersytecie w Helsinkach i tam prowadzili regularne spotkania, mniej więcej co dwa tygodnie. Było napisane, kto w danym terminie będzie do dyspozycji społecznej. Spotkania wyglądały tak, że dany profesor siadał w dostępnym dla wszystkich holu, a ludzie przychodzili i zadawali mu różne pytania. Miał on wytłumaczyć im w jakiś sensowny zrozumiały sposób, po co on jest i co robi i czemu jego praca służy. Do tego nam jeszcze trochę brakuje, ale ponieważ uważam się w jakimś sensie za dziecko Tertium, bo przecież przyjechałem tu po raz pierwszy jeszcze jako magister, to chciałem się tym podzielić i mój skromny głos tutaj dołożyć. Dziękuję bardzo.

Joanna Dybiec-Gajer: Dziękuję bardzo. Jakieś głosy z sali? Głosy z panelu? Mikrofon przekażę jeszcze Panu Przewodniczącemu. Proszę.

Władysław Chłopicki: Króciutko na temat tego upowszechnienia i udostępnienia w sieci. Jesteśmy w tej chwili na progu decyzji, czy nadal wydawać nasze tradycyjne tomy konferencyjne, czy przejść po prostu na formę cyfrową, *open access*, w której wydajemy już *Półrocznik Językoznawczy Tertium* i *The European Journal of Humour Research*. Dzisiaj wieczorem będzie na ten temat dyskusja na dorocznym zebraniu naszego Towarzystwa. Myślę, że jednak to zrobimy. Tak krótko.

Joanna Dybiec-Gajer: Jakieś jeszcze głosy, uwagi?

Małgorzata Majewska: [Odpowiedź na pytanie dr Małgorzaty Haładewicz-Grzelak dotyczące szkoleń formacji psychologicznej dla lekarzy] Jest bardzo dużo pracy z lekarzem w takim sensie, że lekarze bardzo często sami się zgłaszają. Właściwie proszą mnie o warsztaty. Wiecie Państwo, to jest dla mnie ogromne odkrycie, że w tym takim bardzo poważnym panu doktorze ja zawsze odkrywam kogoś, kto się boi, kto nie wie, jak rozmawiać. Pierwszy wykład zawsze dla lekarzy robię pod takim hasłem: „Najpierw relacja – potem racja". Zanim lekarz zacznie działać medycznie, niech zbuduje relacje z pacjentem. Jestem zdumiona tym, że ludzie często starsi ode mnie, przychodzą z takim ogromnym poczuciem bezradności. Dla nich w ogóle nie jest oczywiste to, że jeżeli pacjent jest agresywny, to jest to jego strategia na radzenie sobie z lękiem. Nie jest to wymierzone personalnie w pana doktora, tylko po prostu pacjent nie potrafi inaczej. Odpowiem w skrócie na to, o czym Pani mówiła. Od 13 lat mniej więcej raz w tygodniu prowadzę takie szkolenie dla lekarzy. Za każdym razem zadziwia mnie to, że coś, co dla mnie jest rzeczywiste, dla nich jest odkrywcze. Właśnie ten przykład z agresją, ale też to (w tamten piątek w Katowicach miałam szkolenie u pediatrów), że dla pediatrów odkryciem była informacja, że w momencie, gdy mówią do rodziców o zaniedbaniu zdrowia dziecka, rodzice odbierają to interpersonalnie jako akt zagrożenia twarzy. W naszej dziedzinie akty zagrożenia twarzy badano już wiele lat temu. Dla nich to było odkryciem, że chcą powiedzieć, że ten kaszel to dziecko ma od trzech tygodni. Ja mówię: „dobrze, ale proszę popatrzeć na kontekst". Takie przykłady mogę mnożyć.

Maciej Eder: [Odpowiedź na pytanie dr Haładewicz-Grzelak dotyczące publikacji w formacie *open access*]. Bardzo głęboko się z Panią zgadzam. Ten problem istnieje. I dlatego ruch *open access* ma sens, bo rozbija te skamieliny. Wygląda to na ogół tak, że albo jest się za tym murem

(ang. *paywall*) i wtedy trzeba płacić 25 albo 30 dolarów za artykuł i można go ściągnąć, albo sam autor płaci 3000 dolarów, czy 1250. W tej chwili sam mam taki artykuł w recenzji – jeśli przyjmą artykuł, to 1300 dolarów trzeba będzie zapłacić. Ale będzie *open access.* Ten problem, co więcej, ma kilka jeszcze aspektów. Mianowicie czasopisma w największym współczynnikiem wpływu, tzn. *impact factor*, to są te najbardziej płatne. Im wyżej na ten Olimp chciałbym wejść, tym większe muszę zapłacić pieniądze, na które niektórych państw czy uniwersytetów, mówiąc wprost, nie stać. Jest to zawsze kwestia wymierzenia między bardzo wysoką opłatą a bardzo wysokim współczynnikiem wpływu albo czymś darmowym, ale z mniejszym prestiżem.

Są tutaj różne ruchy, np. ostatnio kilku noblistów wystosowało taki list, że nie będą publikować ani w *Science,* ani w *Nature.* Tylko że oni mogą sobie na to pozwolić. Problem istnieje, tym bardziej, że nasz system, zaaprobowany przez Pana Ministra, wspomaga te czasopisma, gdzie trzeba dużo płacić. Jeżeli chcę mieć więcej punktów, to muszę za to więcej płacić. Tu jest pewien problem, bo te czasopisma z *open access* są coraz lepsze, ale Pan Premier tak nie bardzo im ufa. A jeszcze musimy myśleć o parametryzacji, nie tylko o pieniądzach z grantu. Troszkę marzę, żeby tak było, ale tak nie jest i jeszcze przez chwilę nie będzie.

Joanna Dybiec-Gajer: Ponieważ padło tu już hasło *open access*, opłat za publikacje, jak również słowo na „p" – parametryzacja, więc myślę, że jest to najlepszy czas, by oddać głos panu doktorowi Władysławowi Chłopickiemu, który, jak Państwo wiedzą, zajmuje się badaniami nad humorem.

Władysław Chłopicki: Pani Profesor Tabakowska też się zajmowała humorem w dawnym czasie i może trochę zachowała to zainteresowanie – myślę tu o jej nowym tłumaczeniu *Alicji w krainie czarów*. Natomiast pomyślałem o tym także w perspektywie dialogu lekarza z pacjentem. Są też badania na ten temat, jakiego używać humoru w takiej sytuacji (ironia na przykład nie do końca się nadaje). Generalnie myślę, że perspektywa humorologiczna (trochę udało nam się ją pokazać także na obecnej konferencji, bo w pierwszym dniu była sekcja poświęcona humorowi) łączy językoznawców różnej maści. Pamiętam wspomnianą już dyskusję komunikatywistów i kognitywistów – tam humoru był pełno i był bardzo perswazyjny, być może i przekonujący (można ją przeczytać w całości i darmowo w *Półroczniku Językoznawczym Tertium* 1(1): 109-124). Ja stosuję go świadomie, a może czasem trochę nieświadomie – w dydaktyce. Państwo pewnie też. Nie wiem dokładnie (są też badania na ten temat), na ile humor prowadzącego pomaga studentom w rozumieniu przedmiotu, a na ile im

jedynie uprzyjemnia te zajęcia. To są dwie różne sprawy, ale jednak mówiliśmy o perspektywie osobowej, więc osoba nauczyciela czy osoba wykładowcy jednak oddziaływuje. Ponieważ osoba z humorem oddziaływuje lepiej, więc być może jest to właściwy kierunek zmian systemowych.

Jeszcze jeden aspekt tego humoru: osoby, które się nim zajmują, mają jedną wspólną cechę, a mianowicie: otwartość na innych i samokrytycyzm. Ponieważ nie jest tak łatwo zrozumieć, jakie w tym humorze mechanizmy działają, w związku z tym osoby, które się nim zajmują, z natury rzeczy są otwarte na inne punkty widzenia. Badania nad humorem mają coś wspólnego z takimi dyscyplinami, jak przekładoznawstwo, chociażby dlatego, że tam jest humoru także w bród, może trochę z innych względów, bo wynika on ze zderzeń między językami, które z natury rzeczy są zabawne. Pamiętam zajęcia z tłumaczenia, jakie przez lata prowadziła dla filologów angielskich dr Teresa Bałuk-Ulewicz, które były beczką śmiechu. Oczywiście śmialiśmy się tam najbardziej z własnych przekładów. Ta perspektywa jest bardzo istotna w przekładoznawstwie. Obydwie dziedziny mają trochę wspólnego z językoznawstwem kognitywnym, dlatego tak polubiłem tę szkołę językoznawczą, bo tam można znaleźć mnóstwo samokrytycyzmu, dystansu badacza w stosunku do swoich badań i samego siebie. Taką perspektywę warto wprowadzać także rozmawiając tutaj o otwartości. Pokutuje jeszcze stereotyp nauczyciela akademickiego, który *ex cathedra* wygłasza różne niezrozumiałe tezy, a studenci muszą je tylko zapamiętać. Natomiast mam nadzieję, że ta perspektywa powoli odchodzi na rzecz wspomnianej elastyczności i otwartości w podejściu, a także zaproszenia studentów do udziału w badaniach.

Joanna Dybiec-Gajer: Przekazuję głos Panu Prof. Jerzemu Bartmińskiemu.

Jerzy Bartmiński: Ja chcę zadać pytanie prof. Ederowi, ale zanim to zrobię, dam krótki wstęp. Przed chwilą spotkałem prezesa PAU, prof. Andrzeja Białasa – fizyka. Zapytałem go, czy naprawdę myśli tak, jak napisał w ostatniej *Pauzie Akademickiej*. W ostatnim numerze *Pauzy* jest artykuł właśnie prof. Białasa na temat przepaści, jaka dzieli humanistykę od nauk ścisłych. Ja byłem zaskoczony, powiedziałem: „Panie Profesorze, ale ja znam pewnego fizyka z Krakowa, który jest jednocześnie humanistą". Miałem na myśli właśnie Białasa, bo ma duszę humanisty, a z zawodu jest fizykiem. On się roześmiał i powiedział, że zna humanistów, którzy mają pewne zainteresowania ścisłe. I tak się rozstaliśmy. Ja teraz chciałbym wrócić do tego artykułu, który Profesor Białas opublikował w *Pauzie* i wywołać temat: Otwarcie humanistyki

na nauki ścisłe, a zwłaszcza otwarcie na nowe techniki informatyczne. I to jest właśnie pytanie, które chcę skierować do Prof. Edera.

Ale jeszcze wstępnie muszę się powiedzieć, że zostałem wplątany w pewną inicjatywę, w której nie bardzo umiem się odnaleźć. Mianowicie, mój przyjaciel Adam Pawłowski z Wrocławia zarekomendował mnie do współpracy z gronem informatyków, którzy w Politechnice Wrocławskiej dostali duże pieniądze na tworzenie programów technicznych dla humanistyki. Otrzymali ponoć 15 mln i szukają humanistów do współpracy. Program nazywa się CLARIN. I teraz chcę zapytać Profesora Edera, czy Pan coś wie o tym programie? Co można im doradzić? Ja mam bardzo małe doświadczenie, choć z komputerem pracuję od 25 lat. Był kiedyś taki program, który nasz informatyk lubelski doc. Światomir Ząbek zainicjował. Zaczęliśmy coś razem robić, ale on umarł, zostawił mnie z programem niedokończonym. To miała być komputeryzacja zasobów polskiego folkloru za pomocą języka fasetowo-deskryptorowego, który miał automatycznie selekcjonować i systematyzować teksty i to utknęło. CLARIN chce, żeby teraz wrócić do tego. Czy my – humaniści – możemy im coś nowego zaoferować? Oni czekają na zamówienia od humanistów.

Michał Eder: Pan Profesor oczywiście przesadza z tą postawą afektowanej skromności. To nie kto inny jak Profesor Bartmiński jest autorem artykułu z 1978 roku, kiedy komputery jeszcze nie istniały, a Pan Profesor już taki jeden miał. I na tym proto-komputerze Pan Profesor robił taką analizę pieśni ludowych. Ja kiedyś sporządzałem bibliografię zawartości czasopisma *Literatura ludowa*, więc wszystkie publikowane tam teksty miałem w rękach i oczywiście Pański artykuł był jednym z pierwszych.

Ale wracając do tematu: otóż ta potrzeba rozmowy istnieje. Tu się wcześniej mówiło o interdyscyplinarności, czy transdyscyplinarności: ta potrzeba rozmowy rzeczywiście istnieje, aby humanista zrozumiał fizyka, a fizyk rozumiał humanistę. Nie chcę wchodzić za bardzo w dygresję, ale wydaje mi się, że prawdziwa interdyscyplinarność nie polega na tym, że jest adyscyplinarnością, czyli jest dyletanctwem po obu stronach. Interdyscyplinarność polega na tym, że jest wybitny fachowiec, powiedzmy, językoznawca i wybitny fachowiec – informatyk, i oni coś razem tworzą, wymieniając się doświadczeniami, a nie, że jest jedna osoba, która udaje jednego i drugiego naraz. Tak szczerze mówiąc, w tego typu pseudointerdyscyplinarność nie do końca wierzę, żeby ktoś był w stanie być naprawdę wybitny w dwóch dziedzinach. Ale w istnienie zespołów badawczych, w istnienie fachowców poszczególnych dziedzin wierzę głęboko. Pytania, jakie humanistyka stawia, mogą być wsparte przez aparat pojęciowy

matematyków czy informatyków i w drugą stronę: żeby matematyk czy informatyk rozumiał świat, jest mu potrzebna chociażby pewna podbudowa filozoficzna, żeby umiał zadać właściwe pytania. Wydaje mi się, że jedno bez drugiego na pewnym wyższym poziomie ogólności istnieć nie może.

Natomiast jeśli chodzi o CLARIN, to rzeczywiście coś jest na rzeczy, choć wymaga sprostowania. Nie chcę mówić, że to jest tak, jak z tym starym dowcipem z Erywania: po pierwsze: nie samochody, tylko rowery, po drugie: nie dają, tylko kradną. Ale te 16 mln, o których mówił Pan Profesor, już dawno zostały wydane; teraz jest mowa o dużo mniejszych pieniądzach. Cóż to jest CLARIN? CLARIN jest to konsorcjum naukowe europejskie, które ma na celu wytworzyć technologie językowe dla nauk humanistycznych, ale bardziej dla językoznawstwa, niż dla jakichś innych nauk. Istnieje ono od kilku lat. Państwo, którzy zajmowali się kiedykolwiek przetwarzaniem języka naturalnego, wiedzą, że bardzo ważne w korpusie jest np. opisanie morfosyntaktyczne poszczególnych form, czyli opisanie każdego słowa: jaka to jest część mowy, a najlepiej, jeśli dodatkowo to jest uzupełnione opisem składniowym. Pożytek z tego taki, że wtedy o korpusie (o języku) wiemy znacznie więcej, niż tylko na podstawie występujących w tekstach form leksykalnych. Takie kodowanie można oczywiście zrobić ręcznie – ale wtedy trzeba mieć 40 niewolników i 5 lat pracy, i wtedy można jakieś 0,5 mln słów w ten sposób oznaczyć. Ja na przykład w tej chwili ręcznie anotuje *Fraszki* Kochanowskiego i jestem przy 6 tysiącach słów (z 15 tys.) i mam już tej pracy serdecznie dość. Bo też jest to robota potworna. Natomiast można zaprząc do tego pewne modele probabilistyczne i wyspecjalizowane oprogramowanie. Żeby taki model stworzyć, trzeba matematyka, trzeba statystyka i trzeba językoznawcy. I właśnie CLARIN się takimi rzeczami zajmuje. Oni wyprodukowali kilka bardzo dobrych narzędzi do automatycznej adnotacji korpusów, kilka narzędzi do wyszukiwania nazw własnych z korpusu, itd. Tylko prawdą jest, że nie bardzo wiedzą, do czego tych narzędzi można by użyć, nie są w stanie znaleźć wspólnego języka z nami, nie wiedzą, do czego my tak naprawdę ich potrzebujemy. Im się wydaje, że potrzebowaliśmy „rozpoznawacz" nazw własnych, „rozpoznawacz" dat, „rozpoznawacz" form fleksyjnych. I takie zrobili. Ale teraz czekają na dalsze inspiracje. Dlatego wszystkie sugestie Pana Profesora mogą być dla nich niezwykle ważne. Ja bym w to wchodził.

Jerzy Bartmiński: Ja też wszedłem w to. Byłem na spotkaniu. Świetne przyjęcie, bardzo dobrze wprowadzające w klimat. Spędziliśmy uroczy wieczór we Wrocławiu. I tam się różne pomysły

pojawiały. Ta rozmowa była rzeczowa. Ja zaproponowałem wykorzystanie systemu fasetowo-deskryptorowego i ujęcie tekstologiczne: system deskrypcji nie tylko słów, ale też całych tekstów. Dałem listę deskryptorów tekstu, postulowałem, aby wprowadzić takie rubryki, jak gatunek i intencje tekstu. Na przykład kiedyś opracowaliśmy słownik intencji tekstu, wydrukowany zresztą w Katowicach. To była praca magisterska mojej studentki Danuty Aleksandrowicz. Miała za zadanie najpierw zebrać deklarowane w tekstach intencje, potem poddać je weryfikacji, wydobyć różne intencje, zapisać w systemie zero-jedynkowym i sklasyfikować tak, żeby maszyna mogła je rozpoznać. Ale to człowiek musi taki zapis intencji zaproponować. I oni to kupili. Drugi to był słownik gatunków mowy. Bo kluczem do opisu tekstu jest gatunek. Gatunki mowy, choć klasyfikacje nigdy nie będą precyzyjne do końca, jednak, jeśli się je uporządkuje w pewien nawet niedoskonały sposób, to będzie to narzędzie przydatne w procedurach wyszukiwawczych. Wrocławski zespół z Politechniki jest bardzo otwarty na współpracę z humanistami.

Maciej Eder: Panie Profesorze, sugeruję wchodzić w to, ale jednocześnie ostrzegam: uczestniczy Pan we współczesnym „Projekcie Manhattan", czyli produkuje Pan bombę atomową, albo, jeśli Pan woli: uczestniczy Pan w pakcie faustowskim. Mianowice te dane bezcenne, które im Pan daje, będą później służyły do wytrenowania pewnych modeli probabilistycznych po to, żeby kiedyś sztuczna inteligencja zawładnęła światem. Więc Pan będzie na to pracował (ja też zresztą do tego rękę przykładam).

Jerzy Bartmiński: Pan mnie próbuje teraz przestraszyć, ale ja się nie boję. Ja wchodzę w to z nadzieją i optymizmem. Sądzę, że będę miał możliwość kontrolowania tego, co oni z tym zrobią i w pewnym momencie będę mógł powiedzieć: stop.

Joanna Dybiec-Gajer: Zaczęliśmy naszą dyskusję od tekstologii i do tej tekstologii wróciliśmy. Pojawił się też aspekt futurologiczny na sam koniec i myślę, że jest to dobry moment, żeby dyskusję zakończyć. Bardzo serdecznie dziękuję panelistom za udział, za wszystkie bardzo cenne uwagi, refleksje i wymianę pomysłów i spojrzenia z różnych stron. Dziękuję też zgromadzonym uczestnikom konferencji za głosy w dyskusji, za zainteresowanie i cierpliwość. Zapraszam na przerwę, gdzie będzie można tę dyskusję kontynuować.

Noty o uczestnikach dyskusji

Jerzy Bartmiński, prof. dr hab., profesor zwyczajny Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz Instytutu Slawistyki PAN, członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności. Autor około 300 publikacji z zakresu językoznawstwa polonistycznego, etnolingwistyki i tekstologii. Laureat min. w 1989 r. nagrody POLCUL, w 1991 r. Nagrody Kolberga, w 1999 r. odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Do jego obszarów zainteresowań naukowych wchodzą problemy tekstologii, odmiany i style, semantyka, słownictwo aksjologiczne, gatunki polskiego folkloru, składnia, kategorie językowe, etnolingwistyka (językowy obraz świata, stereotypy językowe).

Elżbieta Muskat-Tabakowska, prof. dr hab., emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 2002-2012 Kierownik Katedry UNESCO do Badań nad Przekładem i Komunikacją Międzykulturową. Anglistka, specjalista w dziedzinie językoznawstwa kognitywnego i teorii przekładu. Tłumacz konferencyjny. Autorka tłumaczeń licznych tekstów literackich i historiograficznych. Jej dorobek obejmuje siedem książek z zakresu językoznawstwa i teorii przekładu oraz niemal 200 oryginalnych artykułów naukowych, publikowanych w Polsce i zagranicą. Visiting Professor na kilku europejskich uniwersytetach. Autorka programu studiów drugiego stopnia w zakresie przekładu, zakwalifikowanego do sieci European Master's in Translation.

Władysław Chłopicki, dr, językoznawca, pracownik Instytutu Filologii Angielskiej UJ oraz Zakładu Filologii Angielskiej w PWSZ w Krośnie. Autor m.in. monografii *O humorze poważnie* oraz redaktor i współredaktor licznych monografii m.in. *Humor polski, Termin w językoznawstwie, Cognition in Language, Culture's Software: Communication Styles* czy *Humorous Discourse*. Jego zainteresowania naukowe obejmują: interdyscyplinarne badania nad humorem w kontekście kulturoznawstwa, językoznawstwa kognitywnego, pragmatyki językoznawczej i narratologii, jak również zagadnienia przekładoznawstwa. Prezes International Society for Humor Studies (2018-2019) oraz Przewodniczący Zarządu Krakowskiego Towarzystwa Popularyzowania Wiedzy o Komunikacji Językowej „Tertium" (od roku 2012). Redaktor European Journal of Humour Research i Półrocznika Językoznawczego Tertium. Współorganizator cyklu ogólnopolskich konferencji „Język

trzeciego tysiąclecia" (od roku 2000) i współredaktor publikacji z serii „Język a komunikacja" oraz redaktor serii „Humour and Culture".

Małgorzata Majewska, dr, Instytut Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej UJ, zajmuje się językiem w codziennej komunikacji i w języku medialnym. Metodologicznie podpisuje się pod założeniami językoznawstwa kognitywnego i pragmatyki mowy.

Joanna Dybiec-Gajer, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, gdzie kieruje Katedrą Dydaktyki Przekładu. Przekładoznawca i nauczyciel przekładu. Jej główne zainteresowania badawcze obejmują teorię, praktykę i dydaktykę przekładu, a ostatnio zwłaszcza przekład dla dzieci i młodzieży. Autorka książek *Złota różdżka. Od książki dla dzieci po dreszczowiec raczej dla dorosłych* (2017), *Zmierzyć przekład? Z metodologii oceniania w dydaktyce przekładu pisemnego* (2013) i *Guidebook Gazes. Poland in American and German Travel Guides* (2004). Współautorka podręczników *Verba Volant, Scripta Manent. How to write an MA thesis in Translation Studies* (2012) oraz *Polnisch aktiv* (2006). W zarządzie Krakowskiego Towarzystwa Popularyzowania Wiedzy o Komunikacji Językowej Tertium od 2008 r.

Lech Zieliński, dr hab. prof. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, germanista, przekładoznawca. Jego zainteresowania naukowe oscylują wokół historii (m.in. historii krajów niemieckiego obszaru językowego, przede wszystkich Niemiec Republiki Weimarskiej i Szwajcarii, problematyki wzajemnego postrzegania i stereotypów w relacji polsko-niemieckiej); językoznawstwa (m.in. leksykologii porównawczej, języków w Szwajcarii, polityki językowej Szwajcarii, kontaktów językowych, leksykografii polskiej i niemieckiej) oraz translatoryki (teorii tłumaczenia tekstów specjalistycznych, dydaktyki przekładu w Polsce i na świecie, analizy jakości i krytyki tłumaczeń tekstów specjalistycznych). Od 2000 roku członek Krakowskiego Towarzystwa Popularyzacji Wiedzy o Komunikacji Językowej „Tertium", od 2003 roku członek Stowarzyszenia Germanistów Polskich. Redaktor naczelny czasopisma „*Rocznik Przekładoznawczy*".

Maciej Eder, dr hab., badacz literatury i języka, dyrektor Instytutu Języka Polskiego Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Naukowo zajmuje się atrybucją autorską, stylometrią, wersyfikacją, wczesnonowożytną literaturą polską i łacińską.